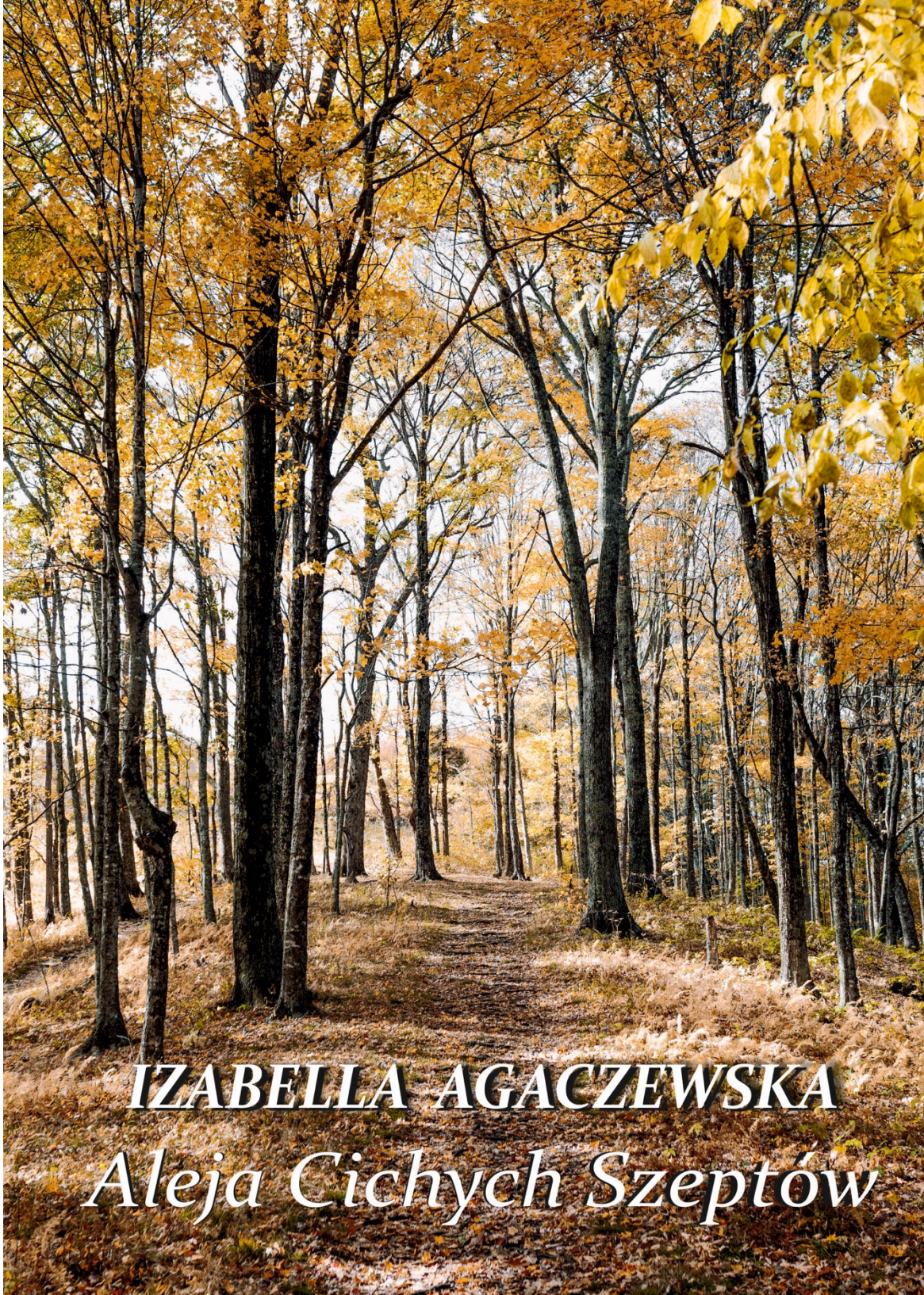


IZABELLA AGACZEWSKA

Aleja Cichych Szeptów

IZABELLA AGACZEWSKA

Aleja Cichych Szeptów

© by Izabella Agaczewska (Agnieszka Imiołek)

ISBN 978-83-949976-2-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Dla Agnieszki

Nie ma drugiej takiej, jak Ty

"Wędrówką życie jest człowieka"

Wędrówką jedną życie jest człowieka;
Idzie wciąż,
Dalej wciąż,
Dokąd? Skąd?
Dokąd? Skąd?
Dokąd? Skąd?

Jak zjawa senna życie jest człowieka;
Zjawia się, dotknąć chcesz,
Lecz ucieka!
Lecz ucieka!
Lecz ucieka!

To nic! To nic! To nic!
Dopóki sił,
Jednak iść! Przecież iść!
Będę iść!

To nic! To nic! To nic!
Dopóki sił,
Będę szedł! Będę biegł!
Nie dam się!

Edward Stachura

Część pierwsza

Rozdział 1

Młoda dziewczyna, siedząca za szklaną ladą, ziewnęła. Galeria dopiero budziła się do życia. Dochodziła dziesiąta. Nieliczni klienci, nie spiesząc się, przechodzili obok rywalizujących ze sobą witryn butików. Artystycznie wyeksponowane sukienki, otulone ciepłymi szalami w beżowych odcieniach, zasypane były jesiennymi liśćmi. Wielka piramida ułożona z książek zachwycała swoją precyzją i doborem kolorystyki. Roziskrzone diodami i żarówkami kryształowe lampy o wyrafinowanych, ale delikatnych kształtach, magnetyzowały świetlistą poświatą. Ekspozycje zachęcały potencjalnych klientów do zakupów. Jednak ci snuli się po galerii niezdecydowani, zatrzymywali się przed wystawami i rzadko kiedy wchodzili do środka. Stoisko z ekskluzywną porcelaną nie należało do wyjątków. Na szklanych regałach i stolikach poustawiane były nieskazitelnie białe talerze o prostej, jednak doskonałej formie. Były też wazy, sosjerki, misy, dzbany, półmiski, spodeczki… Wzory zdobiące naczynia urzekały swym pięknem i subtelnością. Porcelana lśniła w świetle dyskretnie rozmieszczonych lampek i reflektorów. Bukiety białych orchidei włożone do szklanych wazonów dopełniały całości. Klienci zatrzymywali się przed wystawą, jakby bali się wejść i zburzyć tym samym panującą we wnętrzu harmonię i piękno. Odstraszały też ceny. Filiżanka

z wytłoczonym storczykiem, w pastelowych odcieniach kosztowała, bagatela, 174 zł. Były też droższe, ale akurat tę wzięła do ręki kobieta, która niezauważenie pojawiła się w sklepie.

Ekspedientka wstała i czujnym okiem zerkała na klientkę. Kolejna „odwiedzająca", z tych, co tylko oglądają, ale nigdy nie kupują – oceniła kobietę sprzedawczyni. – Szkoda mojego wysiłku na umizgiwanie się do niej, i tak nic z tego. Kto ubrany w takie ciuchy wyda kilkaset złotych na filiżanki?

Przecież wiedziała dobrze, że „prawdziwe" klientki przychodzą ubrane w eleganckie płaszcze kupione w najdroższych butikach galerii. Noszą skórzane pantofle w najmodniejszym fasonie i oryginalne torebki od najlepszych projektantów. Naj, naj, naj… wszystko muszą mieć najlepsze i najdroższe, a porcelana w tym sklepie była również „naj". Kobieta, która stała przed nią zachowywała, co prawda, minimalne poczucie smaku, jeśli chodzi o dobór kolorystyczny ubioru, ale fason i jakość pozostawiały wiele do życzenia i świadczyły raczej o niewielkim zasobie portfela. Zrezygnowała, więc z miłego powitania i rozmowy ograniczając się do zdawkowego „Dzień dobry", ale uważnie obserwowała klientkę.

Kobieta miała ciemne długie włosy, zbyt długa grzywka przysłaniała czoło i brwi. Jej oczy były o nieokreślonym kolorze: szare, niebieskie a może zielone? Trudno było ocenić z odległości kilku metrów, jaka dzieliła obie kobiety. Za to wyraźnie zaznaczały się zmarszczki na bladej, prawie pozbawionej makijażu, zmęczonej twarzy. Klientka stała wpatrzona w filiżankę, ale myślami była daleko, bardzo daleko. Jej usta nagle drgnęły i na twarzy pojawił się delikatny, nieśmiały uśmiech, który dodał blasku jej smutnym dotąd

oczom. Ekspedientka, która oszacowała jej wiek na około pięćdziesiąt lat, teraz zweryfikowała swój osąd.

Filiżanka z białej porcelany była krucha i delikatna. Bała się wziąć ją do ręki. Jednak ciekawość i chęć dotknięcia wyrafinowanego uszka wygrały z irracjonalnym lękiem. Storczyk, który uwypuklał się na gładkiej powierzchni, wyglądał, jakby jeszcze przed chwilą kwitł w ogrodzie. Przesunęła palcem po jego bladoróżowych płatkach. Tak bardzo zapragnęła mieć tę filiżankę. W jej marzeniach pojawił się stół nakryty białym obrusem i ta wspaniała zastawa. Pokój jadalny był urządzony z dużą prostotą i elegancją, wszystko było nieskazitelnie białe. Srebrne widelczyki, łyżki, noże, serwetniki iskrzyły się w blasku świec. Oczami wyobraźni widziała piękną, przestronną kuchnię, wspaniały hol i schody wiodące na piętro. W myślach meblowała przytulne pokoje na górze. Stała z filiżanką w dłoni i śniła na jawie o wyimaginowanym domu z wieżyczką.

Rzadko pozwalała sobie na te fantazje, bo, na co dzień żyła rzeczywistością, która mocno trzymała ją w ryzach i nie tolerowała bujania w obłokach. Gdy jednak czuła zbliżający się kres wytrzymałości i nadmiar zmęczenia, to poddawała się własnej terapii, którą wypracowała przed laty. Wsiadała w pociąg i przyjeżdżała do Krakowa. Miarowy stukot kół działał na nią uspokajająco. Nie przeszkadzały jej rozmowy i wzajemne pretensje pasażerów, krzyki dzieci i lecące na głowy bagaże. Wsłuchana w rytm pociągu zatapiała się w świecie fantazji. Pierwsze, co robiła na dworcu w Krakowie, to wchodziła do kolektury i skreślała

szczęśliwe liczby – od lat te same. Potem błąkała się ulicami miasta, chodząc po sklepach i wybierając w marzeniach nowe, ekskluzywne ubrania dla siebie, dzieci i męża. Następnie przychodził czas na perfumerie, które zanurzały ją w zapachach słodkich róż, orientalnego opium, czy wonnego jaśminu. Na deser zostawiała sobie sklepy z wyposażeniem wnętrz, by mogła puścić wodze fantazji i do woli urządzać swój kupiony za niebotyczną wygraną dom. Teraz było jej o wiele łatwiej, bo wszystkie te sklepy mieściły się pod jednym dachem. Musiała jedynie wybrać galerię, którą miała ochotę odwiedzić. A tych w mieście nie brakowało. Na koniec zachodziła do jednej z kawiarenek i popijając aromatycznie pachnącą kawę, delektowała się wuzetką. Po takim naładowaniu akumulatorów wracała do Andrychowa i mogła z powrotem wtłoczyć się w machinę swojego coraz bardziej przegranego życia, o które nie umiała już walczyć.

Powiodła wzrokiem po półkach, na których stały piękne, upragnione przedmioty. W jej kuchni każde naczynie było „z innej parafii". Tak miała w zwyczaju mawiać jej mama o rzeczach, które do siebie nie pasowały. Zostało jeszcze parę sztuk z serwisu obiadowego, który rodzice dostali w prezencie ślubnym. Nie wyrzuciła ich, bo miała sentyment do rzeczy, które przypominały jej chwile spędzone z nieżyjącymi już rodzicami. Kubek, który pamiętał dotknięcia ust taty, czy talerz z niewidzialnymi śladami palców mamy. Pamiętała, jak zajadała się swoim ulubionym deserem, który robiła jej mama – galaretką z malinami i bitą śmietaną, podawaną w błękitnej salaterce. Mama śmiała się, patrząc, jak wszystko znika w okamgnieniu, a na nosie, brodzie i bluzeczce jej pociechy pojawiają się czerwone ślady po owocach. Błękitna

salaterka z wyszczerbionymi brzegami, od lat już nieużywana, nadal zajmowała honorowe miejsce w kuchennej szafce. Przypomniała sobie, jak z Piotrem, zaraz po ślubie poszli zrobić pierwsze zakupy. Kupili w hipermarkecie w Bielsku kilka talerzy z niebieskimi chabrami. Piotr na półce obok znalazł dwa kubki z identycznym wzorem. Powiedział, żartując, że z tego kubka będzie pił herbatę do końca swego życia. Bynajmniej nie z powodu niezwykłej urody tego naczynia, ale ponieważ patrząc na te bławatki, będzie widział oczy swej ukochanej żony. Byli tacy szczęśliwi, mimo że porcelana na wagę była importowana z Chin, a jej jakość pozostawiała wiele do życzenia. Talerze się porozbijały, ale nadal piją herbatę z tych ulubionych kubków. Potem kupili ekskluzywny serwis na 12 osób, taki, o jakim zawsze marzyła z delikatnym srebrnym wzorkiem. Jednak krótko się nim cieszyła, musiała go sprzedać za połowę ceny, gdy…

Usłyszała ostry dźwięk porcelanowej filiżanki, rozpryskującej się na wypolerowanej kamiennej podłodze. Była przerażona, nie mogła złapać tchu, poczuła ucisk i ból w klatce piersiowej, jakby ktoś ściskał ją kleszczami. Skuliła się, trzymając na piersiach jedną rękę, na drugiej zacisnęła zęby, by nie krzyczeć. To nie pierwszy atak paniki w jej życiu, ale od ostatniego minęło już kilka miesięcy. Myślała, że uporała się z tym problemem. Gorączkowe myśli niczym napisy na dole ekranu telewizora przelatywały jej przez głowę. „O Boże, co ja zrobiłam? Będę musiała za to zapłacić. Skąd wezmę taką sumę?" Strach ją paraliżował. Niepewnie spojrzała na sprzedawczynię, która patrzyła na nią z nie mniejszym przerażeniem i nieskrywaną złością.

Ekspedientka zauważyła, jak nagle zmienił się wyraz twarzy klientki. Łagodny uśmiech zastąpił grymas bólu, a oczy wypełniły się łzami, które jedna po drugiej powolutku toczyły się po policzkach. Ręka, w której kobieta trzymała filiżankę, zaczęła drżeć. Dziewczyna nie czekała dłużej, tylko ruszyła w jej stronę. Nie zdążyła. Jak na zwolnionym filmie widziała spadającą porcelanę. Nie umiała przyspieszyć ruchów i zapobiec katastrofie.

Teraz obie stały nad skorupami, które jeszcze przed chwilą tworzyły doskonały kształt. Spojrzała na klientkę, która drżała i głośno łapała każdy oddech. Miała ochotę nawrzeszczeć na nią, ale powstrzymało ją spojrzenie kobiety. Było pełne bólu i czegoś, co trudno było odczytać. W jej oczach tliła się także iskierka nadziei.

- Proszę się uspokoić – dziewczyna pierwsza otrząsnęła się i zaczęła działać. Posadziła klientkę na krześle i podała jej szklankę wody. Kobieta wyjęła opakowanie tabletek z torebki i wprawnym, dobrze wyćwiczonym ruchem wzięła jedną, popijając przyniesionym płynem. Po chwili uspokoiła się i mogły porozmawiać.

Rozdział 2

Szła po mokrym chodniku, na którym leżały pierwsze jesienne liście. Słońce bezskutecznie usiłowało przedostać się przez grubą warstwę chmur i rzucić kilka ciepłych promieni, by ogrzać i rozjaśnić, choć na chwilę, ciemnoszare ulice miasta. Zamiast nich, z nieba koloru stali, padały grube krople deszczu. Zimny wiatr kręcił się raz w jedną, raz w drugą stronę, znikał, a potem nagle wyskakiwał zza kolejnego szpitalnego budynku, by wywołać kolejny atak dreszczy u zmarzniętych przechodniów. Ewa prawie biegła do widocznego w oddali budynku przy ulicy Śniadeckich. Przez to zdarzenie w galerii była już spóźniona na umówioną wizytę z lekarzem.

Niewiele obiecywała sobie po tej konsultacji, ale jeśli miała być leczona, to tylko pod kierunkiem doktora Gabriela Werdycha – Archanioła Gabriela. Tak z żartem mówiły o młodym medyku pielęgniarki i pacjenci. Nawet ordynator przyznawał, że samo imię działa kojąco na chorych. Co ważniejsze, lekarz wykazywał się wnikliwą i skrupulatną diagnozą schorzeń, a swoich pacjentów otaczał troskliwą opieką. Mimo upływu lat pamiętała go bardzo dobrze, jego ciepły, przyjemny głos dodający otuchy i nadziei, pełne uśmiechu, łagodne spojrzenie i spokój, jaki ją ogarniał, gdy tłumaczył zawiłości leczenia i terapii. Była mu wdzięczna

za szczerość, mimo że nie była łatwa do zaakceptowania. Nigdy nie zapomni tego, co dla niej zrobił w najważniejszej chwili jej życia.

Zmoknięta, mimo rozpostartego parasola, który nie mógł ochronić jej przed zawiewającym z różnych stron wiatrem, dotarła do przychodni przyklinicznej. Spytała o gabinet lekarza i ruszyła przez wąski korytarz, przeciskając się między tłumem oczekujących pacjentów. Wszystkie miejsca były zajęte, stanęła więc przy oknie, patrząc, jak krople deszczu, jedna po drugiej, spływają po szybie. To miejsce znów wywołało falę bolesnych wspomnień.

- Pani Ewa Jodłowska, zapraszam do gabinetu – w poczekalni rozległ się mój donośny głos.

Trzymając w ręce historię choroby pacjentki, usiadłem za biurkiem. Gdy weszła, nie od razu ją rozpoznałem. Dopiero gdy napotkałem jej spojrzenie, wspomnienie, niczym piórko puchu, sfrunęło, z nagle otwartej, szuflady niepamięci. Minęło prawie dwadzieścia lat, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Ponownie zerknąłem w kartę.

„Ewa Jodłowska, lat 43…”

Zmieniła nazwisko, co nie było niczym zadziwiającym, jednak trudno było mi odnaleźć podobieństwo do kobiety, którą kiedyś znałem. Pozostał znajomy uśmiech, nieśmiało błąkający się w kącikach ust i dźwięczny głos. Dyskretnie na nią spoglądałem znad papierów. Wydawała mi się dużo starsza niż była w rzeczywistości. Trochę zaniedbana, bez makijażu, który mógłby

nieco zatrzeć ślady upływającego czasu. To nie był tylko brak dbałości o siebie, na jej twarzy malowało się też zmęczenie. Co było powodem tych zapadniętych policzków, bladej cery i podkrążonych oczu? Zbyt dobrze wiedziałem, co to może oznaczać. Spojrzałem na wyniki badań. Czyżby historia miała się powtórzyć?

Byłem wtedy jeszcze na stażu. Przez wiele miesięcy obserwowałem Ewę, która towarzyszyła swojej matce w czasie każdego pobytu na oddziale onkologii. Wyglądały jak siostry, podobne do siebie niczym dwie krople wody. Nie odstępowała chorej na krok. Przychodziła, gdy tylko kończył się obchód i wychodziła ostatnia, wyganiana przez pielęgniarki. Opiekowała się nie tylko mamą, ale także innymi pacjentkami. Każdy ją lubił, bo wnosiła ze sobą na szpitalne sale powiew wiosny. Nawet siostra oddziałowa z przymrużeniem oka patrzyła na jej wizyty poza wyznaczonymi godzinami. Nie raz widziałem ją, jak płakała, siedząc na schodach, po czym dokładnie wycierała mokrą od łez twarz, poprawiała makijaż i z uśmiechem na karminowych ustach wkraczała na oddział. Zawsze rozciągał się za nią smakowity zapach jagodzianek, które piekła dla matki i innych chorych. Czasami częstowała nimi pielęgniarki i lekarzy. Do tej pory czuję ich smak. Zapamiętałem ją, bo była pierwszą osobą, którą musiałem poinformować o śmierci pacjenta. To nie było łatwe zadanie…

Jej długie kasztanowe włosy były w lekkim nieładzie, na zewnątrz szalała pierwsza wiosenna burza. Miała długą sukienkę koloru wrzosu. Jeszcze teraz widzę ją, jak roześmiana wchodzi na oddział i energicznie idzie korytarzem wprost na mnie. W miarę, gdy się zbliża, jej uśmiech powoli gaśnie, patrzy mi w oczy i wszystko

rozumie. Jej kroki stają się cichsze, w końcu milkną. Stoi przede mną, a ja nie wiem, co mam jej powiedzieć. Jak zakomunikować komuś, że jego najbliższa osoba zmarła kilkanaście minut temu? Jakich użyć słów? Zanim cokolwiek powiedziałem padło jej ciche pytanie:

- Gdzie teraz jest mama?

Wskazałem ręką na salę, z której nie zdążono jeszcze wywieźć zmarłej do prosektorium. Wręczyła mi pudełko z jagodziankami i powoli weszła do sali. Pielęgniarka próbowała protestować, ale poprosiłem, żeby wyszła z pokoju. Podałem jej drożdżówki, a sam zostałem przed drzwiami, pilnując, by nikt nie zakłócił ostatniego spotkania matki i córki. Ewa wiedziała, że jej matka umrze, ale nie była gotowa na tę chwilę. Czy ktokolwiek może przygotować się na śmierć najbliższej osoby? Wątpię. Podbiegła do łóżka, na którym leżało wyniszczone chorobą ciało jej matki. Przywarła do niego i zaniosła się szlochem, całowała ręce i twarz kobiety. Położyła głowę na piersi matki i objęła się jej bezwładnymi rękami. Trwała tak w tym pożegnalnym objęciu przez dłuższą chwilę. Podszedłem i delikatnie dotknąłem jej szczupłego ramienia. Drgnęła, budząc się z letargu, spojrzała na mnie z błagalnym spojrzeniem. Wycofałem się więc z sali i powstrzymałem nadchodzących sanitariuszy, którzy przyszli zabrać ciało zmarłej. Ewa pochyliła się nad twarzą matki i coś szeptała jej do ucha, po czym złożyła na jej ustach pocałunek, uścisnęła dłoń i odeszła chwiejnym krokiem od łóżka. Była roztrzęsiona i blada. Zaprowadziłem ją do dyżurki lekarskiej i podałem tabletki na uspokojenie. Otuliłem ją ciepłym kocem, bo cała drżała z zimna

i emocji. Gdy doszła do siebie, pomogłem jej załatwić wszystkie formalności. Przy pożegnaniu nieoczekiwanie przytuliła się do mnie i wyszeptała:

- Dziękuję, to było dla mnie bardzo ważne.

Odeszła, posyłając mi wdzięczne spojrzenie. Tak, byłem nią zauroczony. I mimo upływu lat zmieszałem się jak sztubak, widząc ją ponownie. Niestety, znów miałem jej do przekazania złe wieści.

- Pana oczy nie potrafią nic ukryć – odezwała się pierwsza. – Mam raka, prawda? – jej głos był smutny, ale pełen spokoju.

- Tak, to znaczy nie – miotałem się zupełnie zaskoczony tym bardziej stwierdzeniem niż pytaniem.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Znowu zrobiłem się purpurowy. Co za idiotyczna sytuacja – myślałem gorączkowo.

- Przepraszam, źle się wyraziłem – musiałem się jakoś wytłumaczyć. – Jeszcze nie wiem, co pani dolega. Wyniki badań faktycznie ujawniają niewielki guz w prawej piersi, ale to jeszcze nie oznacza, że to nowotwór.

Patrzyła mi prosto w oczy i milczała, czekając na drugą część mojej wypowiedzi. Nie było w tym spojrzeniu ulgi ani nadziei. Wiedziała, co powiem.

- Jednak biorąc pod uwagę przypadki onkologiczne w pani rodzinie, niestety, nie mogę tego wykluczyć. Bądźmy jednak dobrej myśli. W najbliższy piątek wykonamy mammotoniczną biopsję piersi, a do tygodnia lub dwóch poznamy wyniki. Za dwa tygodnie

zgłosi się pani do doktora Szaflarskiego, bo ja w tym czasie będę na sympozjum w Paryżu.

- Nie – przerwała mi nerwowo. – Ja zaczekam – dodała już spokojniej. – Ufam panu.

Tymi słowami zbiła wszystkie argumenty, których nie zdążyłem nawet przedstawić. No cóż, nie będę ukrywać, że to mile połechtało moje ego. Znowu poczułem, że się rumienię, po raz trzeci w ciągu kilku minut. Wziąłem z biurka kalendarz i zacząłem wertować kartki.

- No dobrze, pani Ewo. W takim razie zadzwonię do pani po moim powrocie i umówimy się na kolejną wizytę.

Wstała z krzesła i wolno podeszła do drzwi. Trzymając rękę na klamce, odwróciła się i patrząc mi prosto w oczy, powiedziała:

- Wiem, że to sprawa beznadziejna, ale będę się czuła bezpiecznie, gdy sam Archanioł Gabriel będzie moim lekarzem. Proszę tylko o szczerość. – uśmiechnęła się i zanim zdążyłem zareagować, już jej nie było.

Gdy zamknęły się drzwi, opadłem na oparcie fotela. Poluzowałem krawat i wziąłem głęboki oddech. Wiedziałem, że niektóre pielęgniarki i pacjenci żartują sobie z mojego imienia. Nie sądziłem tylko, że Ewa będzie o tym pamiętać. Marny ze mnie zwiastun dobrej nowiny. Podrażniona ambicja kazała mi się jeszcze raz zagłębić w historię choroby kobiety. Niestety, bez wyników szczegółowych badań nie potrafiłem nic odkrywczego wymyślić. Dopiero po chwili poprosiłem kolejnego pacjenta.